

Marcin Wierzchowski i jego wewnętrzny idiota

W „Idiotach” w Teatrze im. Jaracza symulowana niepełnosprawność staje się dla postaci narzędziem budowania alternatywnego świata czystych i prostych relacji. Publiczność konfrontowana jest z aktorami, którzy grają postaci, które „grają” (na scenie i podczas ulicznych performansów) niepełnosprawnych, a także z niepełnosprawnym aktorem amatorem. Aby porozmawiać o tym, spotykam się z reżyserem spektaklu MARCINEM WIERZCHOWSKIM, gdy kończy swoje czwartkowe zajęcia w Szkole Filmowej. Czyli po godzinie 22.

Łukasz Kaczyński: - Herbaty? Czarna. Mam w termosie.

Marcin Wierzchowski: - I ja mam termos, z wrzątkiem. Możemy zaczynać.

Jak pojawiły się „niepełnosprawne” warianty każdej z postaci? Aktorzy sami je wypracowywali, ty je wydobywałeś?

- To był trzymiesięczny proces. Od von Triera zaczerpnęliśmy metodę, opowieść tworzyliśmy sami, bo mieliśmy poczucie, że teza jego filmu idzie w poprzek łódzkiej - a może i polskiej - rzeczywistości i potrzeb, które się z niej wyłaniają. Więc zaczęliśmy bez scenariusza. Najpierw przez półtora miesiąca tworzyliśmy postaci pełnosprawne. Aktorzy bazowali na kimś, kogo znają ze swego życia. Budowaliśmy ich życie, improwizując je od narodzin do momentu, aż stają się grupą, a gdy się nią stali, zaczęliśmy wyłaniać ich „wewnętrzne dziecko”, wewnętrznego „idiotę”. W większości rodziło się to samoistnie, tzn. aktor prowadził ten proces, ale mieliśmy też wspólną specjalistkę od ruchu i pracy ze śniącym ciałem, Anetę Jankowską, która pogłębiała proces zainicjowany wyłanianiem „idioty”.

Całą rozmowę można przeczytać w kwietniowym numerze „Kalejdoskopu”.